

HISTORIA XVI—XVII WIEKU *

Książka Zbigniewa Wójcika, będąca trzecim tomem, a właściwie pierwszą częścią trzeciego tomu *Historii powszechnej* wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, jest dziełem budzącym szacunek, już po pobieżnym jego poznaniu. Właściwy tekst mieści się na 588 stronicach, na pozostałych znajduje się licząca 30 stron okazała bibliografia, wykaz autorów (6 stron) oraz wielostronicowe indeksy, rzeczowy i osobowy. Zgodnie z tytułem książka obejmuje historię dwu stuleci, przy czym wiek szesnasty zaczyna autor od wypraw odkrywczych kończąc wiek siedemnasty prawie dokładnie na końcu stulecia, nie sięgając, jak wielu historyków, do początku wieku osiemnastego.

Przede wszystkim omawia autor naturalnie dzieje narodów europejskich, nie pomijając narodów mniejszych, jak Węgrów, Czechów czy Duńczyków, uwzględniając szerzej niż inne historie powszechne dzieje Rosji i Turcji. Dziejom krajów innych kontynentów poświęcił autor, nie licząc rozdziałów, w których omawia odkrycia geograficzne, około 40 stron. Sprawy gospodarcze zostały omówione na mniej więcej 60 stronicach (mniej więcej, bowiem dokładne ustalenie ustępów poświęconych tej dziedzinie dziejów nie jest łatwe, gdyż autor omawia niejednokrotnie gospodarkę w rozdziałach poświęconych zasadniczo sprawom politycznym). Kulturze poświęcił autor mniej więcej 80 stronic. Tak przedstawia się książka Wójcika przy pobieżnym jej obejrzeniu.

Charakter książki jest trochę niejednorodny. Została ona pomyślana przede wszystkim jako synteza przeznaczona dla zawodowych historyków i ludzi interesujących się poważniej dziejami powszechnymi. Autor jednak pamiętał o tym, że w obecnej sytuacji przy braku podręcznika przeznaczonego dla studentów uniwersytetu, jego dzieło będzie w jakimś stopniu namiastką tego podręcznika, że znaczna część studentów będzie poznawała historię tego okresu, uczyła się do egzaminów właśnie z jego książki. Dodajmy wreszcie dla zakończenia tej pierwszej prezentacji książki, że dzieło to nie jest produktem pospiesznego poznania obszernej literatury przedmiotu, ale owocem długich studiów, jeszcze dłuższego okresu zainteresowania się problemami historii powszechnej. Na każdym też kroku przekonujemy się, że autor obraca się swobodnie w obszernej literaturze, że orientuje się dobrze w różnych poglądach i hipotezach wypowiedzianych przez historyków różnych narodowości na temat poszczególnych zjawisk historycznych w tych dwóch stuleciach.

Po tej ogólnej prezentacji czytelnik zrozumie dobrze, jak trudną rzeczą jest bezstronne omówienie tej książki, jak ostrożnie trzeba postępować, by pochopnym sądem nie skrzywdzić autora. Wszak przy tego rodzaju syntezach można zawsze zgłaszać jakieś pretensje, przy czym zgłaszający je właściwie nigdy nie może być pewny, czy jego pretensja jest słuszna. Historycy znający jako tako dzieje tych stuleci zawsze może uważać, że ten czy inny problem ująłby inaczej, tu powiedziałby mniej, tam — więcej, ale i on również nie wie, czy potrafiliby o tym samym

* Zbigniew Wójcik, *Historia powszechna XVI—XVII wieku*. Warszawa 1968, PWN, ss. 705, 3 nlb, 12 map poza tekstem.

zjawisku pisać nie tylko inaczej, ale też i lepiej. Przy tym można powiedzieć, że właśnie tak obszerna synteza kusi do zgłaszania wątpliwości, wysuwania zastrzeżeń, zadawania pytań. Ot choćby taka rzecz. Autor, jak widzieliśmy, poświęcił na historię gospodarczą mniej więcej jedną dziesiątą część tekstu. Dużo to czy mało? Proporcja wystarczająca czy nie wystarczająca? Podobnie jest, gdy idzie o nieco szerszej uwzględnioną kulturę. Sądzę, że w tej sprawie co drugi historyk będzie miał inny sąd. Toteż zgłaszając w dalszym ciągu recenzji swe uwagi, pretensje, zdaję sobie sprawę z ich subiektywnego charakteru. Nie powinny one też u czytelnika przesłonić mojego dużego szacunku dla dzieła, radości, że wreszcie okres, którym się zajmuję, doczekał się tak poważnej syntezy.

Autor książki jest znanym historykiem, zajmującym się dotąd głównie historią Polski w siedemnastym stuleciu, specjalnie zaś stosunkami Polski z Rosją. Znany też jest jego poprawny, jasny język. Toteż nikogo nie dziwi fakt, że i tom *Historii powszechnej* napisany przez niego jest redagowany w sposób jasny, przejrzysty. Przystępując do pisania swej syntezy autor miał do wyboru różne możliwości ujęcia tematu. Mógł więc materiał ująć wzorem niektórych syntez francuskich w wielkie problemowe rozdziały, omawiając osobno życie gospodarcze, rozwój nauk, historię sztuki, stosunki społeczne, ustrój poszczególnych państw, by na końcu przedstawić zarys stosunków międzynarodowych. Mógł, idąc za innymi wzorami, zająć się kolejno historią poszczególnych państw, by następnie omówić problemy wspólne. Mógł wreszcie — nie mówiąc już o innych koncepcjach ujęcia przedmiotu — pójść śladem poprzednio wydanych tomów *Historii powszechnej* PWN: szeregować i ujmować wypadki chronologicznie, rozbijając historię narodów na mniejsze, według porządku chronologicznego ujęte rozdziały. Ten ostatni, przyjęty przez autora system pisania jest w Polsce dość popularny i trzeba przyznać, że — jak się zdaje — odpowiada szczególnie tym, którzy mają się uczyć z danej książki. Ten system, mnie osobiście też bardzo bliski, wymaga jednak ze strony autora dużej dyscypliny i uwagi, by nie poszatkować historii na drobne wycinki, by nie zatracić tego co wspólne w całej Europie.

Autor zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw czyhających przy tym systemie pisania i starał się temu zapobiec, grupując materiał koło ważniejszych, ogólnoeuropejskich zjawisk. Na ogół też uniknął tych pułapek, muszę jednak przyznać, że odczuwam niekiedy niedostatek. I tak wydaje mi się, że można było silniej wydobyc różnice istniejące między ruchem reformacyjnym w poszczególnych krajach. Oczekiwałem też, że autor omówiwszy rewolucję angielską i fronde, wskaże czytelnikowi, że w tym okresie przez całą Europę przeszła fala niepokojów społecznych, wyraźny sygnał kryzysu formacji feudalnej. Przydałoby się to tym bardziej, że dopiero wówczas można było z kolei wykazać, że klasy posiadające ratowały się przed groźącą falą rewolucyjną wzmocnieniem władzy monarszej, tworzeniem rządów absolutnych. Wszak władzę monarszą wzmocniono nie tylko we Francji Ludwika XIV, ale próby stworzenia absolutnej monarchii udane, czy nieudane — jak w Polsce, obserwujemy wówczas znowu w całej niemal Europie, przy czym odbywało się to i przy pomocy zamachu stanu, jak w Danii — o którym to zamachu autor zresztą nawet nie wspomina.

Drugim problemem, z którym autor musiał się uporać, była sprawa umiejętnego doboru faktów. Było to tym bardziej ważne, że — jak wiemy — w jakimś stopniu książka ta odegra również rolę podręcznika. Na moje odczucie autor istotnie w większości przypadków pisze o faktach na tyle ważnych, że bez nich trudno by było zrozumieć proces historyczny. Niekiedy jednak dyscyplina autora zawiodła. Tak przy okazji omawiania wojen włoskich na przełomie XV i XVI w. można chyba było zrezygnować z informacji o trzeciorzędnych traktatach zawieranych przez wojujące państwa, by znaleźć czas na zastanowienie się nad niebagatelnym, po raz

pierwszy tu występującym, problemem prowadzenia większych wojen przy pomocy żołnierza najemnego. Właśnie tu bowiem wyszły na jaw ujemne strony prowadzenia walk armiami żołnierzy najemnych, w związku z ogromnymi trudnościami zmobilizowania odpowiednich środków pieniężnych na te wojny, trudnościami, z którymi nawet tak bogate państwa, jak Francja i Hiszpania nie umiały się uporać. Toteż poszczególne kampanie zaczynały się wówczas świetnie, ale często kończyły się niepowodzeniem bo zaciągnięty, niepłatny żołnierz rozbiegał się do domu, lub też padał ofiarą wywołanych głodem chorób. Sprawa to nie bagatelna, albowiem dzięki omówieniu tego zjawiska np. student zrozumiałby, że kłopoty z zapłaconiem żołnierza nie były tylko przywilejem Polski, jak to nieraz wynikałoby z naszych opracowań. Przy sposobności trzeba podkreślić, że w ogóle zagadnienie sztuki wojennej w Europie w tych dwu stuleciach zostało potraktowane po macoszemu.

Przewidując słusznie, że książka będzie spełniała rolę podręcznika, autor zadbął o to, by na jej łamach omówić najważniejsze teorie i poglądy uczonych, dotyczące genezy różnych zjawisk. Poszedł śladem niektórych zagranicznych podręczników, jak wydawnictwo Presses Universitaires de France, „Clio”, które po podaniu literatury zamieszcza omówienie najważniejszej problematyki pod tytułem *État actuel des questions*. Zastosowanie tej metody niewątpliwie podnosi wartość książki. Autor przedstawia sumiennie poglądy uczonych, zwraca uwagę na sprawy sporne, stara się usilnie o to, by czytelnik jak najlepiej zrozumiał proces historyczny. Jest rzeczą zrozumiałą, że w tej subiektywnej a równocześnie trudnej sprawie można tu i ówdzie zgłaszać pod adresem autora pretensje.

Tak mym zdaniem nie dość jasno przedstawił on sprawę genezy kwestii bałtyckiej w XVI w. Jeśli bowiem każdy uważny czytelnik zrozumie, dlaczego Rosja dążyła do wybicia okna na świat przez zagarnięcie któregoś z portów bałtyckich, to dość niejasna będzie dla niego sprawa dążeń np. Szwecji do opanowania Inflight czy też udziału w tych wojnach Danii. Wystarczyło tu wyzyskać cytowaną przez autora książkę S. Svenssona, *Den merkantila bakgrundem till Ryssland anfall på den livländiska ordensstaten* (Lund 1951), by sprawę wyjaśnić. Można dalej zgłosić pretensje do autora, że zbyt obszernie przedstawił, omawiając sprawę genezy wojny trzydziestoletniej, teorię Hrocha i Polisenky'ego, przez co wywołuje wrażenie, jakoby uznawał tę teorię za najślusniejszą i najbardziej przekonującą, aczkolwiek, jak publicznie stwierdził w czasie dyskusji nad książką, tak nie jest. Wydaje się, że zjawisko wojny trzydziestoletniej można było w jakiś sposób powiązać z występującymi wówczas w całej niemal Europie tendencjami unifikacyjnymi władz centralnych i przeciwstawiającymi się im decentralistycznymi tendencjami czynników feudalnych. Wydaje się również, że przedstawiając genezę wybuchu powstania niderlandzkiego, tj. momentu przejścia znacznej części narodu do wojny otwartej z majeżdżcą, można było silniej uwydatnić moment fiskalny idąc w tym za Pirenem, Braurem i innymi historykami.

W równym stopniu jak genezę zjawisk stara się autor przedstawić ich doniosłość i ich skutki, realizując tym samym ważne zadanie historii wyjaśniania także dzisiejszej rzeczywistości przy pomocy przeszłości. Normalnie też objaśnienia autora i jego uwagi są przekonujące, jednak i tu zgłosiłbym pewne pretensje.

Najmniej przekonująco objaśnił autor znaczenie i skutki reformacji w Niemczech. Pisz na ten temat: „Reformacja przyniosła Niemcom wielkie i ciężkie wstrząsy... Byłoby jednak wielkim błędem patrzeć z perspektywy historycznej na reformację niemiecką tylko z tego punktu widzenia. Reformacja i wojna chłopska były pierwszym, decydującym krokiem na drodze olbrzymich przemian społeczno-gospodarczych i ideologicznych”. Dalej stwierdza autor: „Reformacja i odrodzenie odegrały wielką rolę w historii kultury niemieckiej. Życie umysłowe i kulturalne, rozwijające się bujnie pod wpływem humanizmu, otrzymało ze strony ruchu reformacyjnego nowy, życiodajny zastrzyk” (s. 134).

Trudno nie zgodzić się, że pisząc tak autor ma przeważnie rację, odczuwam jednak pewien niedostatek. Wszak chyba należało stwierdzić, że reformacja pogłębiła istniejący już partykularyzm niemiecki, że poprzez sekularyzację dóbr duchowych wzmocniła podstawy gospodarcze władzy książąt a przez wprowadzenie zasady: cuius regio eius religio, i przez oddanie zwierzchnictwa nad kościołem w ręce książąt przyczyniła się walnie do wzmocnienia ich autorytetu i wydała sumienia ich poddanych w ich ręce. Sądzę też, że do pewnego stopnia właśnie reformacja przyczyniła się do rozbudowy absolutyzmu Hohenzollernów, ideologii prusactwa wychowującej społeczeństwo tak, by czuło się szczęśliwe mogąc „stramm marschieren”.

Przy tej okazji zgłosiłbym też pewne wątpliwości co do wypowiedzi autora, że istotnie reformacja odegrała tak wielką rolę w rozwoju kultury niemieckiej. Na pewno w pierwszej chwili poruszenie wielkich mas ludowych, przeciwstawienie się kosztującą prądom średniowiecznym oznaczało jakiś pozytywny czynnik w życiu kulturalnym. Dalsze jednak konsekwencje: absolutyzm książęcy, rosnąca nietolerancja wyznaniowa, doprowadziły przecież do upadku kulturalnego w Niemczech, co w jakimś stopniu znajduje swój wyraz w tym, że uczęszczający dawniej tak licznie na uniwersytety niemieckie polscy studenci coraz częściej zaczęli omijać uniwersytety germańskie i szukali wiedzy w Niderlandach i Francji. Ostatnio piszący na ten temat M. Steinmetz (*Deutsche Geschichte*, Bd. I. Berlin 1954, s. 580) twierdzi, że chociaż w drugiej połowie XVI w. można dostrzec pewną ciągłość kulturalną, to jednak trzeba również dostrzegać i cofnięcie się w rozwoju kultury niemieckiej.

Drugim zagadnieniem, przy którym upomniałbym się o szersze omówienie skutków zjawiska, to rewolucja angielska. Autor wprowadzając na końcu odpowiedniego rozdziału dał ustęp zatytułowany: *Rewolucja angielska — problem sporny w historiografii*, jednak w tym ustępie omówił raczej poglądy historyków angielskich na istotę zjawiska niż na jego skutki. Tymczasem komu jak komu, ale młodzieży przydałoby się zwrócenie uwagi na to, że w ogniu rewolucji zrealizowano ważne hasło późniejszego parlamentaryzmu: odpowiedzialność ministrów, że z tej walki burżuazja angielska wyszła na tyle wzmocniona, iż następnie mogła sięgnąć po rządy w kraju razem z arystokracją. Nie wahałbym się też zwrócić przy tej okazji uwagę na to, że purytanizm żołnierzy rewolucyjnych posiał w społeczeństwie angielskim ziarna, owocujące niemal do dnia dzisiejszego.

Aby nie mnożyć przykładów wskazałbym jeszcze tylko na niedostateczne omówienie znaczenia ideologii kalwińskiej dla późniejszych walk burżuazji z dawnym porządkiem. Nie bez racji chyba Tawney akcentował, jak duże znaczenie miała wiara w predestynację u bojowników niderlandzkich czy rewolucjonistów angielskich. Wszak to gezowie niderlandzcy śpiewali przed walką pieśń, w której znajdowały się słowa budzące w nich pewność zwycięstwa a brzmiące w tłumaczeniu niemieckim tak:

Im Streite bei Seite ist Gott uns gestanden
 Er wollte, es sollte das Recht siegreich sein
 Da ward kaum begonnen, die Schlacht schon gewonnen,
 Du Gott warst ja mit uns, der Sieg, er ward dein.

Zauważyliśmy już na wstępie, że autor pisze jasno, zrozumiale, dobrze po polsku. Czytanie książki, jak powiedzieli przedstawiciele nauczycieli szkół średnich, nie sprawia trudności uczniom liceum. Jest to niewątpliwie ważna zaleta dzieła. Tym bardziej należałoby też w następnych wydaniach usunąć niektóre rzeczywiście niejasne ustępy. Do takich zaliczyłbym strony mówiące o rewolucji niderlandzkiej. Dla przykładu podam tu fragment, w którym autor mówi o sytuacji w kraju

w 1576 r.: „Sytuacja w kraju zaostrzyła się tak, że zanim zdołał przybyć nowy — zaopatrzony w bardziej ugodową instrukcję — namiestnik Filipa, zwycięzca spod Lepanto, Don Juan d’Austria, doszło do wielkiego starcia, które miało z góry przekreślić wszelkie szczerze czy nieszczerze zamiary pokojowe króla. 4 listopada hordy zdemoralizowanych, niepłatnych żołnierzy hiszpańskich, którzy już wszędzie zdążyli dać się we znaki, wypadły na Antwerpię, dokonując rabunków, gwałtów i mordów ludności⁶. Z tekstu nie wynika, że wojska hiszpańskie uderzając na miasto Antwerpię, uprzedzały właściwie wojska powstańcze, które przygotowywały się do uderzenia na wojska najeźdźcy. Nie podano — skutkiem czego tekst staje się niejasny — że wojska hiszpańskie wypadły na miasto z cytadeli okupowanej przez nie od dłuższego czasu. Nie dość jasno przedstawiono też na s. 429 sprawę reform patriarchy moskiewskiego Nikona. Czytelnik może się dziwić, że car utrzymał reformy Nikona idące w kierunku wzmocnienia znaczenia kościoła, skoro równocześnie samego Nikona usunął. Muszę jednak na tym miejscu podkreślić, że podobnych miejsc zauważyć można jedynie parę.

Wspomnieliśmy wyżej, że autor omawia zagadnienia kulturalne przeważnie w osobnych rozdziałach. Przedstawia w nich sprawy nauki, sztuki, literatury, ideologii politycznej. Odczuwam tu brak omówienia życia codziennego ludzi tych czasów przynajmniej w kilku ważniejszych krajach. Nie idzie przy tym o dokładne opisy ubiorów, mieszkań, zwyczajów codziennych, aczkolwiek jakiś ogólny opis byłby tu na miejscu. W większej jednak mierze zyczyłbym sobie tu ujrzeć rozważania na temat wartości życiowych ówczesnego człowieka, uwagi o tym, co wypełniało życie tych ludzi. Byłoby to tym bardziej cenne, że przecież w tym okresie dokonywały się zasadnicze przemiany w tym, co można by określić stylem życia. Wystarczy tu chociażby zestawić styl życia naszego Paska z stylem życia Pepysa, znanego pamiętnikarza angielskiego, porównać życie mieszczan holenderskich w XVII w. z życiem szlachty polskiej czy nawet mieszczan średnich miast polskich.

Samo przedstawienie spraw kultury, najszerzej pojętej, w osobnych rozdziałach jest zrozumiałe. Chwilami jedynie chętnie widzielibyśmy ściślejsze powiązanie ideologii politycznej, sztuki czy literatury z konkretnymi potrzebami społeczeństw ówczesnych.

Jako poważną zaletę książki wymieniłbym jeszcze i to, że autor starał się usilnie, by wymieniając jakiegoś artystę, pisarza czy teoretyka krótko scharakteryzować jego twórczość, by dla czytelnika wspomniane nazwisko nie stanowiło jedynie pustego dźwięku. Przypadki, kiedy autor nie stosuje tej zasady, są niesłychanie rzadkie. Inna rzecz, że chwilami sprzeczałibyśmy się z autorem o to, czy słusznie charakteryzuje twórczość lub też utwory poszczególnych pisarzy. Czy można bowiem ograniczyć się, gdy chodzi o Don Kichota do stwierdzenia, że Cervantes dał w tym utworze „świetną charakterystykę społeczeństwa hiszpańskiego w epoce dekadencji imperium”. Takie określenie nie da czytelnikowi należytego pojęcia o tym arcydziele, któremu piękny wiersz poświęcił Norwid, pisząc w zamknięciu jego:

Prawda jedynie wystarczy
 Nam, co za prawdą gonim, Don Kichotom
 Przeciwno smokom, jadom, kulom, grotom.

Kłóciłbym się też z określeniem Racina, zamykającym się w twierdzeniu, że jest to autor, którego utwory miały „aktualny wydźwięk, chociaż zgodnie z regułami klasycystycznymi sięgał przede wszystkim do tematyki antycznej”. To przecież mówi za mało o twórczości człowieka, który w sposób do dziś dnia żywy przedstawił wielkość i słabość człowieka, jego namiętności i pasje, bohaterstwo i okrucieństwo.

Skoro zaś jesteśmy przy pasji ludzkiej, to warto może jeszcze zwrócić uwagę

na jedną charakterystyczną cechę książki. Autor pisze, jak wspomnieliśmy, w sposób żywy, czytelny, jednak raczej unika dramatyzowania historii. Chętnie posługuje się stylem bezosobowym: „wybuchła wojna szmalkaldzka”, „wprowadzono do kraju reformację” (gdy mowa o Inflantach). Wszystko co potrafi powiedzieć o nieprzeciętnej osobistości Ignacego de Loyola, to jedynie to, że był żołnierzem, człowiekiem wykształconym, w gruncie rzeczy jednak antyintelektualistą i fanatykiem. Stąd też o dziele jego, zakonie jezuitów, pisze, „że stał się skutecznym orężem Kościoła Katolickiego w walce z reformacją, ponadto zaś okazał się najbardziej prężną siłą katolicyzmu, awangardą jego ekspansji na inne kontynenty” (s. 156). Ścisłe rzeczowy, oszczędny sposób pisania na pewno jest w oczach niejednego czytelnika zaletą tej książki. Co do mnie wolałbym jednak, by autor nawet ulegając swym sympatiom i antypatiom pozwolił w większym stopniu dojść do głosu dramatyzmowi historii. Rzecz jasna jednak, że to są moje osobiste wrażenia; trudno z tego powodu mieć pretensje do autora.

Pod koniec naszych rozważań należałoby powiedzieć parę słów o literaturze, na której autor oparł swą pracę i której obszerny spis zamieścił na końcu książki. W gruncie rzeczy jednak właśnie ze względu na obfitość cytowanych monografii wydaje się bezcelowe upominanie o jeszcze jakieś pozycje, tym bardziej, że niektóre z nich mogły się ukazać wówczas, kiedy autor już nie mógł ich uwzględnić, skoro proces produkcyjny, jak wiemy, trwał tu wyjątkowo długo. Jeden zarzut, który postawilibyśmy tu autorowi, to to, że w ramach poszczególnych rozdziałów nie uporządkował literatury według alfabetu, co niepomrotnie utrudnia korzystanie z niej.

Na zakończenie chcemy jeszcze zwrócić uwagę na parę chyba wyraźnych drobnych pomyłek autora. Tak więc cuius regio eius religio nie oznacza czyja władza, tego religia, ale czyj kraj, tego religia. Journée de dupes nie znaczy dzień rozczarowań, ale dzień oszukanych, dudków, jak mówił w swej jędrnej polszczyźnie Konopczyński. Liczba 16 000 okrętów podana przez Colberta jako liczba jednostek floty niderlandzkiej w drugiej połowie XVII w., jest chyba przesadzona, należałoby ją zredukować według Zumthora *Życie w Niderlandach w epoce Rembrandta*, s. 253) do 2400. Podobnie liczba mieszkańców Szwecji właściwej w latach trzydziestych XVII w. 1500 tys. wydaje mi się wątpliwa, skoro według realnych obliczeń przeprowadzonych w początkach XVIII w. doliczono się tam jedynie 1400 tys. mieszkańców. Dawna stolica Danii na Zelandii, w której zawarto pokój w 1658 r., nazywa się dziś Roskilde, nie Røskilde. Sądzę, że tą liczbę drobnych potknięć można by przedłużyć. W żadnym jednak razie nie obniżają one wartości książki, którą — raz jeszcze powtarzam — uważam za poważne osiągnięcie i której ukazanie się należy przywitać z zadowoleniem.

Władysław Czapliński

*

Jeśli w dorobku ostatniego ćwierćwiecza mamy tak mało prac o charakterze syntetycznym, zawinił tu nie tylko znaczny, ilościowy i jakościowy, rozwój historiografii, coraz trudniejszy do twórczego podsumowania. Trzeba sobie bowiem powiedzieć otwarcie, iż autorzy syntez mają ciężkie życie; trudowi pisania towarzyszy bolesna świadomość, że i tak większości kolegów po piórze nie dogodzą, narażając się na różnego rodzaju zarzuty. Dlatego też być może, jak to zawsze miało miejsce w dziedzinach związanych z dużym ryzykiem, tworzą się spółki autorskie, dochodzące niekiedy do takich rozmiarów, iż syntezy zamieniają się w zbiory luźno ze sobą związanych studiów, których jedynym redaktorem bywa introligator. Tym większe uznanie należy się więc Zbigniewowi Wójcikowi jako temu, który odważył

się jednym piórem skreślić dzieje tak przełomowych dla historii Europy i świata dwustu lat. Pamiętajmy, że przed ostatnią wojną ten sam okres omawiali, w ramach *Wielkiej Historii Powszechnej*, kolejno Kazimierz Chodynicki, Kazimierz Piwarski i Władysław Konopczyński (ten ostatni lata 1648—1788); przed czterema laty zaś Andrzej Wyczański, w zarysie wydanym przez PZWS, doszedł tylko do połowy XVII w. Inna sprawa, że o ile wyjściowa cezura książki Wójcika, mianowicie rok 1492, nie może chyba budzić wątpliwości, o tyle kończenie wykładu na schyłku XVII w. wydaje się ze wszech miar dyskusyjne. Trąci ono poniekąd polonocentryzmem, bo przecież data traktatu w Ryswick, zbieżna z końcem panowania Sobieskiego, nie jest przełomowa dla losów Rzeszy Niemieckiej, Moskwy, Włoch czy nawet Francji. Bardziej sensowna wydaje się tu cezura połowy XVII stulecia, przyjmowana ongiś przez Konopczyńskiego a ostatnio przez Wyczańskiego.

Spór na temat periodyzacji można oczywiście wieść w nieskończoność; fakt, iż większość proponowanych dat da się poprzeć rozsądnymi brzmiącymi argumentami świadczy, jak bardzo Europa feudalna daleka była od jedności. I nie tylko feudalna; dopiero pierwsza oraz druga wojna światowa przynoszą cezury periodyzacyjne, bezsporne dla całego niemal kontynentu choć i tu Hiszpania, Szwecja czy Turcja mogłyby wysunąć veto. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, że historycy dziejów powszechnych coraz większą uwagę zwracają na to, co stanowi chyba ich właściwy sens, a mianowicie na pewne procesy historyczne wspólne dla różnych krajów, coraz mniej zaś interesują się sprawami ściśle wewnętrznymi poszczególnych państw. Widać to wyraźnie w *Historii powszechnej* Wójcika; dziejom politycznym poświęcono w niej bowiem daleko mniej miejsca niż można by tego oczekiwać od autora licznych i cenionych studiów z tego właśnie zakresu. Jeśli zajmuje się on w tak szerokim stopniu historią społeczno-gospodarczą, dziejami ustroju czy przemianami w dziedzinie kultury, czyni to dlatego, iż przede wszystkim interesują go procesy wspólne, przebiegające podobnie w różnych krajach i pozostające od siebie w ścisłej zależności.

Książka Wójcika stanowi jeden z tomów nader ambitnie pomyślanej serii, cieszącej się zasłużonym powodzeniem. Nie z własnej winy PWN realizuje ją pod względem chronologicznym od dwóch stron: początku i końca. Po syntezie starożytności i średniowiecza oraz dziejów XIX i początków XX w. otrzymaliśmy dopiero tom środkowy; wiek XVIII nadal świeci pustką. Nasuwa się przy tym pytanie, w jakim stopniu kompozycja całości była pomyślana jako powieść w odcinkach, a więc czy oparto ją na założeniu, iż kolejne tomy mają się wiązać z poprzednimi. Wójcik, choć zakłada, iż czytelnik pamięta co było przedtem, żywi wyraźne przekonanie, że pamięć ta jest zawodna. Stąd dość częste streszczenia piętnasto czy nawet szesnastowiecznej genezy późniejszych wydarzeń; jeden raz tylko, na s. 161, spotykamy — zbędny chyba w tym kontekście — odsyłacz do konkretnego miejsca w zarysie Tadeusza Manteuffla.

Zarówno od tego ostatniego dzieła, jak i od książki Mieczysława Żywczyńskiego różni wyraźnie *Historię powszechną XVI i XVII wieku* z jednej strony częsta polemika z niesłusznymi ujęciami dawniejszego dziejopisarstwa, z drugiej obszernie referowanie dyskusyjnych nieraz poglądów, ostatnio lansowanych w historiografii. Polemika jest niemal z reguły anonimowa; trudno osądzić, co spowodowało takie właśnie potraktowanie oponentów: kurtuazja, oszczędność miejsca czy ostrożność. Natomiast autorzy, z którymi Wójcik wydaje się solidaryzować, zostali zreferowani obszernie i wymienieni po nazwisku. Nasuwa się jednak pytanie, czy celowe jest łączenie systematycznego wykładu o charakterze informacyjnym z omawianiem zasadniczej historiografii; czy zagadnieniu temu nie należałoby poświęcić osobnych rozdziałów, jak to uczyniono w akademickiej *Historii Polski*. Rozumiemy przy tym w pełni tragiczny dylemat autora każdej syntezy: z jednej strony pragnie on uwzględnić najnowsze osiągnięcia nauki historycznej, z drugiej zaś jest świadom

tęgo, iż wiele z błyskotliwych hipotez badawczych ma raczej żywot motyla niż żółwia. W którymś miejscu swej książki Wójcik stwierdza, że w kwestii tej nauka nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa; przecież w mało której dziedzinie wiedzy historycznej zostało ono wyrzeczone. Rozterkę pogłębia jeszcze inercja naszego przemyślnego poligraficznego: na skutek braku map druk książki Wójcika trwał przez blisko trzy lata. Ileż hipotez zdążyło się przez ten czas zestarzeć, jeśli nie zupełnie zdewaluować.

Niektóre z nich wyglądały od początku wątpliwie: nie wiem np., czy warto było tak obszernie (na dwóch stronach — 317—318) referować teorię Poliśenskiego i Hrocha, iż w podziale obozów politycznych doby wojny trzydziestoletniej znalazły swój wyraz sprzeczności „między starym społeczeństwem feudalnym a rodzącym się nowym, kapitalistycznym”, skoro Czechy, mające stanowić jeden z walnych dowodów prawdziwości tej hipotezy, sam Wójcik nazywa parokrotnie krajem „na wskroś jeszcze feudalnym” (s. 324). Inny przykład: na s. 109 n. znajdujemy obszerny omówienie nader dyskusyjnych koncepcji Geldera na temat „większej reformacji”, typu humanistycznego. Jego książka spotkała się z druzgoczącymi recenzjami na łamach tak poważnych czasopism jak „Archiv für Reformationsgeschichte” 1963, t. 54, zesz. 2, s. 258—259 czy „Revue de la litterature comparée” 1963, t. 37, nr 2, s. 312—313. Zamiast szczegółowego referowania ryzykownych hipotez Geldera należało po prostu wspomnieć, iż cała szkoła historyczna z Baintonem, Cantimorim i Williamsem na czele przyjmuje istnienie radykalnej reformacji, nie uznającej więzów dogmatycznych i kościelnych, jako tak zwanej trzeciej reformacji.

Dość często przytaczane w książce Wójcika krótkie opinie innych badaczy nie zostały zaopatrzone w przypisy; rzecz zrozumiała w wydawnictwie tego typu. Należało jednak chyba przyjąć zasadę, że każdego autora cytowanego w tekście czytelnik znajdzie w bibliografii. Tak zaś nie jest, że wymienimy przykładowo socjologa Lewisa H. Morgana, powołanego na s. 33, czy trzykrotnie cytowanych Marksa i Engelsa. Na marginesie przytoczonej na s. 124 opinii tego ostatniego, iż wielka wojna chłopska stanowiła pierwszy akt „europejskiej rewolucji burżuazyjnej”, warto zaznaczyć, iż w identyczny sposób Karol Marks określił powstanie w Niderlandach. Sądząc po wynikach ostatnich badań rację miał raczej autor *Kapitału*.

Omówienia historiografii oraz polemiki badawcze, zawarte w książce Wójcika, odgrywają zresztą swoistą rolę; z jednej strony ukazują, znany nam zresztą dobrze z innych jego prac, temperament polemiczny autora, z drugiej zaś rozluźniają tok narracji, dając czytelnikowi możliwość „zaczepnięcia oddechu”. Takie przerwy lekcyjne będą chyba z uznaniem przyjęte przez studentów, którzy narzekają, iż atakuje się ich zbyt dużą masą informacji. Wójcik, w przeciwieństwie do syntez typu encyklopedycznego, do których sięgamy niemal wyłącznie po to, by coś sprawdzić, kładzie wyraźnie większy nacisk na komentarz. Dość często bardziej od przebiegu zdarzeń wydaje się interesować go ich przyczyna i skutek. Rzadko też daje folgę swemu „patriotyzmowi tematycznemu”: na karb osobistych i wieloletnich zainteresowań autora można więc złożyć tylko zbyt obszerną charakterystykę dziejów wewnętrznych Rosji (s. 157 nn.), czy też przydługie omówienie powstania Bołotnikowa. Umiar byłby w tym ostatnim przypadku wskazany również i ze względu na to, iż jak wynika z ostatnich badań radzieckich wydarzenia te miały mniejsze znaczenie niż im się dotąd przypisywało. Nosiły one bardziej charakter rozruchów głodowych niż powstania antyfeudalnego.

W sumie jednak wpływ osobistych zainteresowań autora wyszedł jej na dobre; to samo da się powiedzieć o przeniesieniu do syntezy niektórych poglądów badawczych Wójcika, wyrażanych w innych jego pracach. W wielu więc miejscach z powodzeniem i w sposób przekonujący ukazuje on wpływ stosunków politycznych na przemiany społeczno-gospodarcze, odbiera też polskiemu losowi narodowemu

cechy wyjątkowości, wydobywając analogie z dziejami innych krajów. Wójcik stale wreszcie uwydatnia rolę struktury ustrojowo-prawnej, zwłaszcza doniosłych dla danego kraju skutków płynących z istnienia w nim (lub nieistnienia) absolutyzmu. Jest on chyba też pierwszym z polskich autorów syntez dziejów powszechnych, który w tak szerokim zakresie wciąga w krąg swoich rozważań również i sprawy wschodnie, a zwłaszcza Turcję, do której notabene czuje wyraźną słabość. Inna sprawa, że temu ostatniemu uczuciu ulega chyba w zbyt silnym stopniu. Tak więc twierdzenie, iż zwycięstwo wiedeńskie nie przyniosło Polsce „na dalszą metę żadnych korzyści” (s. 460) należy uznać za co najmniej dyskusyjne. Tam zaś, gdzie Wójcik pisze, iż plany Sobieskiego zaatakowania Prus w przymierzu z Francją oraz zakończenia wojen z Turcją upadły na skutek „opozycji szlachecko-magnackiej, podsyconej przez Habsburgów i Hohenzollernów” (s. 459), do obowiązków historyka należało chyba zaznaczenie, że i Wysoka Porta stawiała wówczas warunki niemożliwe do przyjęcia dla społeczeństwa szlacheckiego. Strona turecka nie chciała bowiem przystać na zwrot ziem zagrabionych w haniebnym traktacie buczackim.

Sympatia do Turcji wiąże się zresztą ściśle z przeświadczeniem autora, iż „obrotowe przedmurze chrześcijaństwa” (jak ktoś nazwał Polskę) już w drugiej połowie XVII w. znalazło się w śmiertelnym pierścieniu agresji, który należało rozzerwać za wszelką cenę, zanim nie zadusi on Rzeczypospolitą. Wójcik dostrzega możliwość jego rozzerwania od południa; wynika to zresztą u niego z przekonania, że proces historyczny nie jest czymś ściśle zdeterminowanym. Polskę mógł więc — zdaniem autora — ocalić absolutyzm, podobnie zresztą jak rozbitcie wielkiej armady uratowało reformację (s. 236). Łatwiej się już chyba przyjdzie zgodzić z tym pierwszym niż z drugim twierdzeniem.

Nasuwa się tu pytanie, w jakim stopniu autor syntezy ma prawo wyrażać w niej swoje osobiste poglądy; wydaje się, iż w żadnym razie nie należy sprowadzać jego wkładu do roli beznamiętnego a inteligentnego referenta cudzych poglądów i osiągnięć. Już sam zresztą dobór materiału jest stronniczy; trudno też zabronić historykowi prawa do opatrywania komentarzem podawanych informacji. Wójcik jest zresztą ostrożny w tym względzie; gdy chce zająć stanowisko bardziej emocjonalne, najchętniej wyręcza się współczesnym cytatem; wypowiedź Elżbiety po straceniu Marii Stuart służy mu do napiętnowania perfidii angielskiej królowej, zgryźliwa uwaga księcia Chworostina do bardziej negatywnej oceny Rosji niż ta, która wynikałaby z tekstu syntezy. Z rzadka tylko wymknie się autorowi spod pióra ostrzejszy przymiotnik, odbijający od ogólnego umiarkowania; księcia Albę przedstawia więc Wójcik czytelnikowi jako „przyszłego kata Niderlandów” (s. 145), Ludwika XIV nazywa parokrotnie despotą. Określenie to nie pada nigdzie indziej, choć wielu innych despotów występuje na kartach omawianej *Historii*. Nie spotykamy się z nim ani razu w obszernej charakterystyce Richelieugo, którego autor obdarza wyraźną sympatią. Daje się zresztą ona wyczuć i w innych miejscach syntezy: rzecz rozumiała, któż bowiem z nas nie ma swoich ulubionych — i niecierpianych — postaci w historii. Dlatego też z uśmiechem zrozumienia przyjmujemy informację, iż Azteków, którzy utrzymywali stosunki pozamałżeńskie, cechowała „duża rozwiązłość” (s. 34), wśród Majów zaś, prowadzących się w dziedzinie seksualnej w podobny sposób panowała po prostu „dość daleko posunięta swoboda” (s. 39). Notabene również i przytaczana przez Wójcika liczba 20 tys. osób rocznie, składanych w Meksyku na ofiarę bogom, jest przez współczesną historiografię uważana za mało prawdopodobną.

Wróćmy do spraw poważniejszych: mówiłem na początku o obawie historyków przed syntezą. Wywodzi się ona chyba i stąd, że podczas gdy w badaniach monograficznych uznajemy kompetencje kolegów (chyba, że zajmują się tym samym problemem co i my), to w zakresie syntezy każdy niemal ma swą własną wizję przeszłości. Coś podobnego zresztą jest z przenoszeniem na ekrany dzieł klasyków

naszej literatury. Również i na marginesie Wójcika dałoby się wypisać długą listę sprostowań, uzupełnień i uściśleń; exempli gratia przytoczę z nich kilka, odnoszących się do bliskiej mi dziedziny dziejów kultury oraz walk wyznaniowych. Tak więc nie można odrywać wieku XVI od XV; w syntezie niezbyt precyzyjnie przedstawiono różnice istniejące pomiędzy Odrodzeniem a humanizmem; rozdział o roli reformacji w rozwoju kultury niemieckiej wypadł bardzo chudo, skoro pominięto w nim sprawy szkolnictwa oraz powstanie, za sprawą luteranizmu, nowożytnych form propagandy, nie tylko wyznaniowej; tam, gdzie mowa o tolerancji nie wypada śladem Leclera pomijać znaczenia Siedmiogrodu (s. 261), przy Pierświewicie zaś wpływów polskich (s. 168); geneza rewokacji edyktu nantejskiego została załatwiona nic nie mówiącym zdaniem („sytuacja wewnętrzna w kraju skierowała wkrótce i króla i Kościół [...] przeciwko hugenotom”, s. 475).

W omówieniu kultury barokowej niesłusznie chyba skwitowano zupełnym milczeniem Polskę oraz inne kraje słowiańskie; można to od biedy jeszcze zrozumieć w dziedzinie sztuk plastycznych, choć i tu mamy do czynienia z ciekawymi odmianami powszechnie obowiązującego stylu; trudno pojąć w zakresie poezji mającej, na naszym gruncie, wiele kapitalnych osiągnięć w postaci choćby eposu Wacława Potockiego (porównywanego przez C. Backvisa do Milтона) czy liryków Jana Andrzeja Morsztyna — wszyscy oni zostali skwitowani jednym lekceważącym zdaniem, mówiącym, iż nie dorównują literaturze zachodnioeuropejskiej (s. 525). Uwadze Wójcika uszedł istotny problem istnienia tak oryginalnego zjawiska, jakim był słowiański barok; poświęcił mu cenne, cytowane w bibliografii lecz nie wyzyskane w tekście studium węgierski sławista, Endre Angyal, za którym pojęcie to wprowadził do literatury zachodnioeuropejskiej Tapié. Dziwi wreszcie brak najmniejszej choćby wzmianki o doniosłej roli naszych arian jako prekursorów wczesnego Oświecenia; a przecież ich dzieła były czytane i dyskutowane już w drugiej połowie XVII w. Zagadnienia tego dotyczy interesująca monografia Zbigniewa Ogonowskiego. W ogóle charakterystyka kultury barokowej robi chwilami wrażenie jakby wyszła spod pióra francuskiego czy angielskiego a nie polskiego badacza.

Z tego, co powiedzieliśmy, wynika, iż Wójcik nie popadł w polonocentryzm i w polonofilię. Wręcz przeciwnie, wspomina nawet o polskiej odmianie kolonializmu, co wydaje się stwierdzeniem dyskusyjnym. Zbyttno też chyba zasugerował się naszym społecznym i politycznym regresem w XVII w., przenosząc te same, chyba zbyt krzywdzące i pesymistyczne uogólnienia, w dziedzinę kultury. W jego książce dadzą się natomiast wykryć ślady czegoś, co socjologowie — i nie tylko socjologowie — nazywają chętnie europocentryzmem. W świetle ostatnio ogłoszonego w „Studiach Socjologicznych” (1968, zes. 3—4) interesującego artykułu Waldemara Siemińskiego (*Europocentryzm-analiza sytuacji styku Europejczyka z kulturami tzw. egzotycznymi*) już sam termin Wielkich Odkryć „grzeszy” wyraźnie europocentryzmem. Ja bym nie szedł może tak daleko; wydaje się, iż każdy autor zarysu dziejów powszechnych zawsze będzie brał za punkt wyjścia historię rodzimego kontynentu. Aby się o tym przekonać, wystarczy przejrzeć syntezę pisane przez historyków amerykańskich, azjatyckich czy — ostatnio — afrykańskich.

Nie dobrze się jednak stało, iż na 590 stron *Historii powszechnej XVI—XVII wieku* dzieje innych kontynentów zajmują niespełna 80 stron tekstu, a więc zaledwie 13% miejsca. Co gorsze, podczas gdy sprawa odkryć geograficznych znalazła się na początku omawianej książki, to związane z nią ściśle (tematycznie i chronologicznie) dzieje podboju Ameryki i Afryki oraz historię Chin, Indii i Japonii umieszczono na końcu syntezy. Bardziej już racjonalny wydaje się podział zastosowany w zarysie Wyczańskiego, który w dwóch pierwszych rozdziałach przedstawił kolejno rozwój cywilizacji pozaeuropejskich przed przybyciem Europejczyków a następnie odkrycia geograficzne i — bezpośrednio potem — ich skutki w postaci kolonizacji oraz podboju. Pod względem kompozycyjnym wątpliwe też wydaje

się omawianie dopiero po wojnie trzynastoletniej dziejów Francji w pierwszej połowie XVII w., kraju, który odegrał tak znaczną rolę w tych zmaganiach.

Wracając do problemu historii innych kontynentów należy zaznaczyć, że zarówno Wyczański, jak Wójcik, nie wspominają o wpływie wielkich odkryć na przemiany umysłowe Zachodniej Europy, widoczne już w XVII w. W ujęciu Wójcika nie wychodzi zresztą wyraźnie eksterminacja krajowców, ponieważ nie pisze, ilu ich pierwotnie było; tylko przy Majach wspomina o przypuszczalnej liczebności tego plemienia dochodzącej do 15 mln (s. 38). Tymczasem, jak wynika z obliczeń przyjmowanych ostatnio przez poważnych amerykańistów z Konetzkem na czele, pierwotna ludność Ameryki wynosiła 75 do 100 mln, gdy natomiast obecnie żyjących Indian szacuje się na 15—30 mln. Reszta wyginęła nie tylko pod ciosami konkwistadorów, ale i na skutek chorób, ciężkiej pracy i zmiany trybu życia.

Wreszcie sprawa formalnie biorąc jedna z ostatnich, ale faktycznie nie najmniej ważna: stylu pracy, komunikatywności i jasności wykładu. Jest rzeczą oczywistą, iż syntezę tłoczoną w pierwszym nakładzie (za którym zapewne pójdą dalsze) 20 tys. egzemplarzy musi cechować przystępność wykładu, przy czym w autorze chęć powiedzenia jak najwięcej stale walczy z koniecznością pamiętania o ograniczonej w końcu pojemności dzieła. Pod tym względem niewiele da się Wójcikowi wytknąć. Jego charakterystyki są zazwyczaj zwarte i celne; wyjątkowo tylko spotykamy zdawkowe określenia czy niepotrzebne szczegóły. Tak np. wytykanie Kartezjuszowi (za Chmajem) — notabene niesłusznie — błędu *petitio princeps* (s. 536) niewiele powie czytelnikowi, do którego ta synteza jest adresowana.

Na ogół jednak Wójcik pisze treściwie i klarownie, nie nadużywa też terminologii żywcem przeniesionej z innych nauk społecznych. Takie słowa jak *deforestacja* (s. 383) czy *eliberacja* (s. 291) należą do wyjątków w jego książce, podobnie jak nieużywany w naszej historiografii termin *Amerindowie*, mający oznaczać Indian amerykańskich. Zbyt często natomiast wyręcza się autor obcą terminologią tam, gdzie idzie o określenie pewnych form prawnych, ustaw czy grup ludności. Jedne z tych terminów dałyby się zastąpić polskimi odpowiednikami, jak owe „białe miejsca”, stanowiące w Rosji rodzaje jurydyk (s. 424), inne niepotrzebnie są przytaczane w nawiasach obok polskich tłumaczeń (np. s. 423), jeszcze inne można było chyba zamienić na omówienie. Szczególnie daje się to wszystko we znaki tam, gdzie autor charakteryzuje stosunki rosyjskie; nie upiększają tu tekstu zdania w rodzaju: „zlikwidowano ograniczenie sudebnika z 1550 r., dotyczące rozszerzenia się kabalnego chołoptwa [...] Chołopa kabalnego zaś pozbawiono jakiegokolwiek możliwości [...] likwidacji kabalnoji zapisi drogą spłaty długu” (s. 286). Podobnych, współczesnych makaronizmów można by niestety przytoczyć więcej.

Jeśli już idzie o obce języki, to albo należy przyjąć, iż czytelnik zna łacinę oraz podstawowe języki zachodnioeuropejskie i nie trzeba tłumaczyć żadnych tytułów oraz zwrotów, albo też należy przekładać wszystko. Redakcja zachowała się tu niekonsekwentnie; jedne, nieraz najprostsze terminy, tłumaczy, inne zaś pozostawia bez przekładu. Bywa i tak, iż tytuł dzieła jest przytaczany w innym języku niż oryginał, jak to widzimy np. w dziele Acosty *De procurandis Indiis salutis* (s. 254), przytoczonym, nie wiedzieć czemu, po francusku. Występuje również wyraźnie nadużycie dużych liter; ze względu na staranny indeks osób (opatrzone datami urodzin i śmierci) należało chyba pominąć te daty w tekście. Postulowano to już przed czterema laty podczas dyskusji nad książką M. Żywczyńskiego; jak widać bez rezultatu.

Poważną zaletę wykładu Wójcika stanowi unikanie skrótów myślowych czy aluzji do rzeczy przedtem nie omawianych. Z rzadka tylko poślizgnie mu się pióro, by — w charakterystyce odrodzeniowej sztuki — nakreślić zdanie, iż ówczesni artyści tworzyli „Boga na obraz i podobieństwo ludzkie, a nie na odwrot!” (s. 69), co —

jak żywo — przypomina znane dobrze historykom sztuki omówienie obrazu, na którym miał widnieć anioł „naturalnej wielkości”. Wyjątkowo tylko spotykamy w syntezie aluzje do rzeczy przedtem nie omawianych, że wymienimy przykładowo sprawę jansenizmu, wzmiankowanego już na s. 503, choć autor pisze o nim dopiero o 33 strony dalej. Tajemniczo też brzmią zwroty o cennym i ciekawym projekcie Gustawa Adolfa powołania *consistorium generale*, czy też konstatacja, iż „zdolności mobilizacyjne epoki nie przekraczały... 1%” (s. 334 nn.). niesprawiedliwie i anachronicznie wygląda zarzut pod adresem Kalwina jakoby przez swą nietolerancję był prekursorem współczesnego totalitaryzmu (s. 142). W sumie jednak nieścisłości faktograficzne jest w omawianej syntezie bardzo niewiele, a niektóre z nich, jak np. pomyłona o 20 lat data traktatu polsko-tureckiego (s. 204), mogą być śmiało złożone na karb nader niestarannej korekty. Ale do tego zdążyli nas niestety wydawnictwa przyzwyczaić.

Indeksy zostały opracowane starannie; do rzeczowego można mieć różne zastrzeżenia, ale powtórzmy za S. Kieniewiczem: „któż kiedy widział doskonały indeks rzeczowy?”. W niebanalny sposób dobrano ilustracje; jedynie trzy z nich, mianowicie żniwa wg Haura, noc św. Bartłomieja oraz nieśmiertelne zbiory cukru na plantacji, które weszły nawet do podręczników szkół podstawowych, nie zasługiwały na podsuwanie masowemu odbiorcy.

Na zakończenie uwaga ogólna: na każdej syntezie odciska się nie tylko znajomość źródeł i opracowań, ale i osobiste doświadczenia historyczne badacza, który ją napisał. Nie jest chyba rzeczą przypadku, iż historiografia ostatniej doby, zwłaszcza zachodnioeuropejska, tak często i z takim uporem tropi w przeszłości kryzysy wszelkiego typu, nie koniecznie społeczno-gospodarcze. Ze słusznym sceptycyzmem i ostrożnością odnosi się do tego Wójcik, zwracając uwagę, że obok obumierania starych kształtowały się przecież elementy nowego ustroju. Wójcik odrzuca również, w sposób ostateczny i bezapelacyjny, mit o rodzeniu się w XVI—XVII w. również za Łabą elementów układu kapitalistycznego. Inna sprawa, że nadal niewyjaśniona pozostaje kwestia magicznego niejako charakteru tej właśnie granicy, dzielącej kraje rolnicze od uprzemysłowionych, zacofanej od idących szybko naprzód.

Uważny czytelnik omawianej książki, już nie student lecz przeciętny, interesujący się po amatorsku historią inteligent, wyniesie z niej pesymistyczny osąd przeszłości. Pozna ciąg przełomów i rewolucji, które ukazują się pozorne, bo albo były ukoronowaniem zmian zachodzących już dawno, albo też przyniosły panowanie nowych klas rządzących, gorszych nieraz od poprzednio panujących. Ta niewiara w możliwość istnienia gwałtownych przełomów jest zresztą powszechna we współczesnej historiografii. Książka Wójcika ukazuje plastycznie cenę płaconą za postęp techniczny i społeczny, nie przez tych oczywiście, którzy z niego korzystali. Rządy Ludwika XIV służą autorowi do przedstawienia sposobu, w jaki talent narodu i jego pracowitość może się obrócić w ostatecznym rachunku przeciwko niemu, skoro zostaną wyzyskane w zaborczych wojnach. Oprycznina — do zilustrowania tezy, iż system policyjny jest w stanie zahamować rozwój gospodarczy państwa i osłabić jego potencjał obronny.

Pod tym względem nazwałbym syntezę Wójcika dziełem moralizatorskim, nawiązującym do tradycji Oświeceniowej historiografii. Z trzech zasadniczych, znanych nam z Woltera, określiń dziejopisarstwa („jak ludzie rodzili się, cierpieli i umierali”) Wójcik najwięcej opowiada o ich cierpieniu. Brak tu już wiary w „złoty wiek” Hiszpanii, Francji czy Polski. Synteza Chodynickiego i Piwarskiego pod tym względem bardziej nawiązywała w swym optymizmie do Burokhardta. Wójcik nawet z ideologii Odrodzenia wydobywa elementy świadczące o pesymizmie jego twórców. Jeśli cudzoziemiec pozna jego ambitnie pomyślaną syntezę, będzie mógł

łatwo skonstatować: oto dzieje dwóch burzliwych wieków ludzkości napisane przez badacza, którego ojczyzna została niedługo po omawianych wydarzeniach wymazana z mapy Europy.

Janusz Tazbir

*